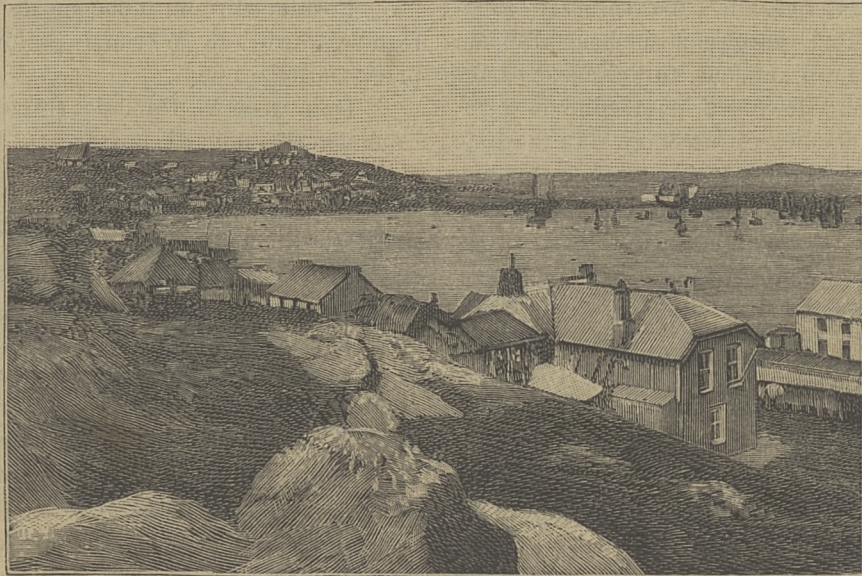




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Wyspy Kwiatowe. Port główny.

WOJNY KRZYŻOWE.

TRZECIA KRUCYATA (rok 1188 -- 1192).

(Dalszy ciąg).

Obleżenie Palestyny zaczęło się w sierpniu 1189 roku i trwało dwa lata. Nadmorskie to miasto leży w położeniu, ułatwiającem niezmiernie obronę, chrześcijanie zaś nie napadli nań odrazu, ale czekali na przybycie królów: francuskiego i angielskiego, przez co dali czas załodze tureckiej ufortyfikować i wzmocnić twierdzę. Wojska Saladyna z drugiej strony napadały na oblegających tak, że chrześcijanie mieli dużo do czynienia, a oprócz tego w łonie swoim nie żywili już tego prawdziwego, bezinteresownego zapału, jaki poruszał pierw-

szych Krzyżowców, lecz zanadto dbali o sprawy doczesne, o posiadłości i tytuły,

Choć Jerozolima nie była jeszcze odzyskaną, już znalazło się dwóch kandydatów na tron jerozolimski: niedołączony Gwido de Lusignan, jako król ostatni, i dzielny obrońca Tyru Konrad z Monferratu, który zdolnościami swemi i męstwem daleko prędzej zasługiwał na tę trudną i niebezpieczną godność.

Tymczasem w r. 1190 przybyli nareszcie pod mury Palestyny na czele swych rycerzy i wasali: Filip August, król francuski i wkrótce po nim król angielski, Ryszard Lwie Serce, który po drodze zdobył wyspę Cypr i założył nowe królestwo Cypru.

Ci dwaj monarchowie wyruszyli z Europy morzem i długi czas spędzili w Sycylii i południowych Włoszech z powodu różnych spraw tamecznych baronów normandzkich. Wówczas

już rozwinęła się u nich na gruncie ambicyi osobistej i dumy narodowej rywalizacya, oraz nienawiść, która przeszła na ich następców i w długich wojnach między Anglią i Francją w XIV i XV wieku do najwyższego doszła natężenia. W czasie wojen krzyżowych nienawiść owa najgubniejsze dla chrześcijan przyniosła skutki.

Filip August, wezwany na pośrednika w sporze o koronę jerozolimską, oświadczył się za Konradem, co skłoniło Ryszarda do przyjęcia sprawy Gwidona. Na usilne nalegania duchowieństwa położono nareszcie koniec tym smutnym zatargom, postanowiwszy, że Gwido de Lusignan zachowa tytuł króla aż do śmierci, a po nim nastąpi Konrad i jego potomkowie.

Wówczas dopiero wzięto się do zdobywania Ptolemaid.

Oblężenie tej twierdzy, w której rycerze chrześcijańscy, pomimo wzajemnych waśni, cudów waleczności dokonywali, jest jednym z najbardziej poetycznych i barwnych epizodów wojen krzyżowych i może być śmiało porównywanym z oblężeniem Troi przez Starożytnych Greków.

W obozie chrześcijańskim było dużo księżniczek i dam dworskich, oraz trubadurów, to jest poetów i pieśniarzy. Niezależnie od codziennych prawie walk z nieprzyjacielem tak zamkniętym w twierdzy, jak i napadającym z zewnątrz, starczyło jeszcze rycerzom chrześcijańskim czasu na ucztę, zabawę, turnieje i pojedynki. Pod czarownem niebem wschodu wiedli oni życie niezmiernie urozmaicone, to walcząc, to znów słuchając pieśni o własnych lub swych poprzedników zapasach, często od ucztę biegnąc wprost na mury, lub rzucając kielich i lutnię dla miecza i tarczy. Życie takie, pełne niespodzianych niebezpieczeństw, miało wiele uroku dla rycerzy ówczesnych i dawało ujście ich zapalnym i krewkim naturom, o których dzisiaj trudno mieć nawet pojęcie.

Nakoniec w 1191 r. Ptolemaida dostała się w ręce Krzyżowców kosztem dziesiątek tysięcy ludzi i szalonych wysiłków męstwa. Najwaleczniejszym bezwątpienia był Ryszard Lwie Serce, ale dumą swoją zniechęcał ku sobie wszystkich tak, że wkrótce po zdobyciu tej twierdzy Filip August i Leopold Austriacki, śmiertelnie na niego obrażeni, powrócili do Europy, a Konrad z Monferratu do Tyru. Ryszard sam nie był w możności odzyskania Jerozolimy i, dowiedziawszy się o zamieszkach we własnym kraju, którym brat jego Jan bez ziemi o władnięć pragnął, opuścił Ziemię Świętą, zostawiając chrześcijan Palestyńskich własnemu losowi. Wprzódy zawarł z Saladynem, podziwiającym jego odwagę, zawieszenie broni na trzy lata, trzy miesiące, trzy dni i trzy godziny. Sułtan ustąpił chrześcijanom wybrzeże morza Śródziemnego od Jaffy aż do Tyru i oprócz tego dozwolił pielgrzymom zwiedzać Jeruzalem bez opłaty i przeszkód przez czas trwania rozejmu.

Taki był koniec trzeciej krucjaty, w której Niemcy utracili najpiękniejsze wojska i znakomitego monarchę, Francya zaś i Anglia z bogatym zasobem sił i pieniędzy nie innego nie dokazały prócz zdobycia Ptolemaid. Małe to powodzenie przypisać należy nienawiści i zazdrości między królem francuzkim i angielskim. Sami ich wasale i poddani tak się przejęli namiętnościami swych monarchów, że kiedy po zawarciu rozejmu z Saladynem, bramy grodu świętego zostały dla chrześcijan otwarte, i wszyscy Krzyżowcy udali się dla odwiedzenia Grobu Zbawiciela, Francuzi jedni nie chcieli iść do Jeruzalem dlatego, że im Ryszard to miasto otworzył. Uczucie zazdrości silniejszym było, niź miłość dla miasta świętego, za które życie swoje chętnieby oddali.

Ryszard, odjeżdżając, przekazał królestwo Cypru Gwidonowi de Lusignan, a naczelne zwierzchnictwo nad posiadłościami chrześcijańskimi i tytułem króla jerozolimskiego dzielnemu Konradowi z Monferratu. Niestety, mężny obrońca Tyru w czasie, gdy wasale przez ucztę i zabawy wybór jego obchodzili, padł ofiarą skrytobójców, jak przypuszczają, dwóch niewolników Starca z Góry, naczelnika nielicznego plemienia Izmaelitów, zamieszkującego w górach Libanu.

CZWARTA KRUCYATA.

(1202 - 1204)

W dziesięć lat potem wyruszył z Europy nowy poczet Krzyżowców. Po śmierci Saladyna utworzone przez niego państwo rozpadło się na kilka części, a brat jego, korzystając z niezgód pomiędzy synowcami, opanował Syryę i Palestynę. Atoli potęga jego nie wzbudzała już tej obawy, co zwyciężki oręż Saladyna, przeto papież Inocenty III ogłosił nową krucyatę. Zaden jednak z panujących nie stawił się na wezwanie Stolicy Apostolskiej, wyruszyła tylko szlachta z Flandryi i Szampanii pod dowództwem Balduina, hrabiego Flandryi, Bonifacego, margrabiego Monferratu i Villehardouina, marszałka Szampanii.

Postanowili oni udać się do Palestyny morzem i dlatego wyprawili do Wenecyi posłów z prośbą o okręty dla przewozu ludzi i koni.

Doża wenecki, Dandolo, starzec 90 letni, ale pełen życia i czerstwości, obiecał dostarczyć Krzyżowcom potrzebnych galer, oraz żywności dla całego wojska przez 9 miesięcy pod warunkiem, że rzeczpospolita wenecka otrzyma za to połowę krajów, mających się zawojować w Azji, oraz że Krzyżowcy dopomogą do zdobycia miasta Zary, leżącego w Dalmacyi nad morzem Adryatyckiem.

Tymczasem do Wenecyi przybył syn cesarza greckiego Izaaka Anioła, książę Aleksy, z prośbą, aby Krzyżowcy pomogli odzyskać tron jego ojcu, którego partya przeciwna pozbawiła wzroku i osadziła w więzieniu. Obiecywał za to utrzymywać flotę i wojsko przez rok cały, wypłacić 200,000 marek srebrnych i połączyć kościół grecki z katolickim.

Krzyżowcy przyjęli ofiarę Aleksiego i z wiosną 1203 roku wyruszyli wraz z dożą Dandolem i wojskiem weneckiem.

Zdobywszy w ciągu dwóch tygodni Zare, w czerwcu stanęli już pod murami Konstantynopola, gdzie chwilowo uśmierzyli rokosz i cesarza Izaaka na tron wynieśli. Atoli, gdy cesarz zaczął ściągać wielkie podatki dla zapłacenia umówionej kwoty, a duchowieństwo nie chciało się zgodzić na nią, powstał nowy bunt. Rokoszanie pod dowództwem młodego księcia Murzuffesa zamordowali cesarza Izaaka wraz z synem i chcieli podstępem ująć głównych wodzów wojska łacińskiego.

Wówczas nastąpiło to, czego od początku wojen krzyżowych, obawiali się cesarzowie greccy. Krzyżowcy i Weneccyanie zdobyli Konstantynopol i z posiadłości europejskich cesarstwa, to jest półwyspu Bałkańskiego i Grecyi, utworzyli tak zwane Cesarstwo Łacińskie.

Balduin został cesarzem, Weneccyanie otrzymali wyspy Jońskie, Kretę i wybrzeże Grecyi, a Bonifacy dostał Macedonię, jako król Tessaloniki.

Tak więc Krzyżowcy zaniechali głównego celu swojej wyprawy i utworzyli nowe państwo, które jednak trwało niedługo, bo zaledwie do roku 1261.

Rycerze zaprowadzili naturalnie ustrój feudalny, podzielili kraj na kilkanaście baronii, a cesarza pozostawili prawie bez środków z czczym tylko tytułem.

Tymczasem w części Małej Azy która należała do Konstantynopola, możniejsi zbiegi ze stolicy utworzyli cesarstwo Nicejskie. Jeden z tych cesarzy Michał Paleolog, korzystając ze słabości cesarza łacińskiego, przeprowił się z wojakiem przez Hellespont i przy pomocy Greków miejscowych oraz kupców geneueńskich, którzy zazdrościli Wenecyi handlu ze wschodem, zdobył Konstantynopol i wskrzesił nanowo cesarstwo greckie, choć znacznie uszczuplone.

W Palestynie stan rzeczy pozostał bez zmiany, trzymało się tam w rękach chrześcijan i zakonów rycerskich kilka miast nadbrzeżnych.

Rycerze łacińscy, opuszczając Konstantynopol, zabrali z sobą wiele cennych relikwii, które Ludwik święty nabył i umieścił w tak zwanej Świętej Kaplicy w Paryżu, gdzie się znajdują obecnie.

(d. c. n.)

Al. z Ch. Rozkowska.

PANNA MARYCZKA Z OPOROWA.

W dniu 24 maja roku pańskiego 1454 w prastarej osadzie Tarnowo, wówczas już rozrosłej jako gród zamożny, Toruniem zwany, od samego świtu kto żyw był na nogach, krzątając się około ochędóstwa ulic i ozdoby domów, zwłaszcza też w pobliżu rynku, gdzie w pośrodku na wyniesieniu ustawiano tron złocisty, szkarłatnem sukmem obity. To też mimo wczesnej rannej godziny gwarno i ludno było wszędzie. Odświętnie przybrani mieszkańcy spieszyli napawać oczy uciesznym widokiem, jak pod nadzorem panów radnych rzemieślnicy, umyślnie z Gdańska sprowadzeni, przystrajali mury przedniejszych kamienic w różne dziwy misternie skonfypowane i wyrobione. Były tam wpośród zieleni i kwiatów złote litery lub całe napisy, ptaki z rozpostartymi skrzydłami udane jakby żywe, wzorzyste kobierce, przetykane złotem, i barwne na płótnie malowania, na których dobre anioły zwyciężały złych duchów, w piekielne, ziejące ogniem spychając ich czeluście. Wyobrażać one miały allegorycznie okoliczność, będącą powodem całej uroczystości, tryumf dobrej sprawy nad potęgą złego, wyzwolenie kraju od nienawistnych mu Krzyżaków. Obywatele Torunia i ziem okolicznych obchodzili radośnie powrót pod prawowitą władzę królów swoich. Uprzykrzywszy sobie rządy krzyżackie, oddające za łada pozorem niewinne głowy pod miecz katowski, ażeby zagrabieć ich mienie, powzięli tajemnicze zamiary, które wreszcie pomyślny uwieńczył skutek.

Przed dwoma miesiącami światło, zapalone w nocy na wieży Toruńskiego zamku, zwiastowało stowarzyszonym w dalszych stronach, że nadszedł czas umówiony. Na znak ten podobnie ognie zabłyśły na innych wieżach pobliskich, i obronne zamki krzyżackie Golub, Kowalewo, Radzin, Grudziądz, Popowo i Rogożno, a wreszcie Gdańsk i Elbląg, wnet zdobyte i opanowane zostały. Ogólna niechęć do Krzyżaków była tak wielką, że gdy się wydaliłi z Gdańska, mieszkańcy coprędzej podpalili miasto, mówiąc, że dobry gospodarz, chcąc się raz na zawsze pozbyć szkodliwego zwierza, legowisko jego zniszczyć powinien.

Gdy już kraj cały był pod zarządem sprzymierzonych, wyprawiono do Krakowa poselstwo, złożone z czterech rajców miejskich, czterech szlachty, trzech burmistrzów i jedne-

go knechta z prośbą do panującego tam wówczas Kazimierza Jagiellończyka, ażeby objął rząd nad dziedzictwem krzyżackiem.

Należące zdawna do korony, a gwałtem od niej oderwane Pomorze, ziemia Chełmińska i Michałowska miały być obecnie zwrócone. Król zresztą, jak to sam mistrz przyznał, był patronem zakonu, więc przysługiwało mu prawo nadużycia jego ukrócić.

— Obywatele pruscy — mówili posłowie, stawiający się przed obliczem Kazimierza — przychodzą się dobrowolnie poddać berłu waszemu, miłościwy panie wraz z żonami i dziećmi swojemi, miastami i zamkami już złobytemi, lub mającemi się zdobyć. Nie odpychajcie nas przez jakoweś względy dla wiarodłomnego zakonu, który nie wahał się was szarpać tylokrotnie, pomimo rzucanej nań za to kłatwy i wymierzonej kary kościelnej. Jeżeliby nawet brakło innych dowodów na to, że kraje te do was należą, to dość tego jednego, że spłacają jeszcze świętopietrze, któreście stolicy apostołskiej przyznali.

Pomimo tej przemowy i wielu podobnych przekonywających argumentów, król Kazimierz wahał się jeszcze zgodzić na żądanie posłów. Przez dwa tygodnie trwały rokowania i narady, poczem dopiero na mocy przedstawionych dowodów ucisku i okrucieństw zakonu, król zgodził się przyjąć pod swą opiekę jego ziemię, a poselstwo wnet potem wykonało przysięgę wierności przed prymasem Janem Odrowążem ze Sprowy.

Do stanowczej decyzji królewskiej przyjęcia zwracanych koronie krajów, przyczyniło się też niemało i oburzenie na podstępny i nieuczciwy krzyżacki. Odkryto bowiem, że jednocześnie z przyjazdem posłów, przybył do Krakowa podskarbi zakonu, niby dla uczestnictwa w godach królewskich, a w rzeczy samej, aby przekupiwszy panów radnych, przeskadzać urzeczywistnieniu zamiarów obywateli pruskich.

Krzyżacy przeznaczyli na ten cel 50,000 złotych, sumę bardzo znaczną na owe czasy. Nie powiodły się wszakże niecne knowania, i podskarbi ze wstydem powracać musiał.

Nie dał jednak za wygraną i później nieco próbował w inny sposób dopiąć swego zamiaru. Wszedł w zmwowę z podkomorzym krakowskim, słynnym podówczas z rozbojów, Piotrem Szafrąncem z Pieskowej Skały, aby tenże wywołał przez się rozruchami wstrzymywał wyprawę królewską. I tutaj jednak zabiegi jego były próżne, bo w parę miesięcy później miasto Toruń gotowało się radośnie na przyjęcie króla Kazimierza i poślubionej mu niedawno młodej królowej Elżbiety. Dzień ten był prawdziwie świtem nowej doby dla mieszkańców Torunia, to też, jeżeli znaleźli się wśród nich Niemcy przychylni Krzyżakom, ukrywać musieli uczucia swoje z obawy zemsty oburzonego ludu. I teraz właśnie, gdy ozdabiano domy i ulice, skoro ktoś dostrzegł szarą na uboczu kamienicę, w której bramie nie widać było dotąd żadnych świętecznych przyborów, krzyknął z oburzeniem, i wnet liczna i gniewna gromada podbiegła w ową stronę.

— Hej co to znaczy? — zagadnął ostro ten, co szedł na przedzie, barczystego chłopa o ponurem wejrzeniu, który stał u wejścia — czemu domostwo to nie przybrane ozdobił jak inne, gwoli przyjęcia miłościwego króla a pana naszego?

Zagadnięty nic nie odrzekł, tylko spojrzął jeszcze chmurniej, wzgardliwie wruszając ramionami.

— Milczysz, niecnoto, potrafimy cię zmusić do odpowiedzi — ozwały się naraz inne głosy i wnet gotowano się skarcić suchwalca, gdy nadbiegł Pietrasz, starszy sługa miejski.

— Zachowajcie się spokojnie — zawołał — ja się sam znów rozprawię. Czemu dom ten świeci dotąd pustemi ścianami — zapytał groźnie. — Sam słyzałem, jak młoda pani nasza przykazywała wam wczoraj, aby wszystko było zrobione zawczasu ochędożnie i uczciwie. Czemu nie spełniliście jej rozkazu? Czy żal wam kuotrów waszych Niemców i chcecie, aby mieszkanie to po nich przywdziało żałobę?

— Nie znam was i odpowiadać nie myślę — odparł hardo ów chłop ponury, który w istocie był Niemcem.

— Nie znasz mnie! — wykrzyknął z gniewem Pietrasz —

a więc wiedz, że mi się od ciebie posłuch należy, bo mam prawo wpakować cię do turmy.

— Spróbuj tylko—odrzekł szydlerczo Niemiec, nie znam tu nad sobą panów żadnych prócz...

Nie dokończył, bo przerwała mu mowę, spadając na kark silna pięść Pietrasza. Odskokzył w bok z dzikim okrzykiem, i porwawszy z ziemi drąg okuty, począł nim wywijać młynka po nad głowami obecnych. Zagrożeni cofnęli się na chwilę, lecz wnet podjawszy co się znalazło pod ręką, postąpili znów naprzód, i byłoby przyszło nieledwie do krwawej bójki, gdyby nie zażegnało niebezpieczeństwa młode dziewczę, wychylając się nagle z otwartego okna. Błądą twarzyczkę panny Marychny z Oporowa, właścicielki kamienicy, zjawiającej się w sam czas, by powstrzymać groźną burzę, krucze okalały warkocze, oczy jej koloru wody morskiej miały wyraz rozumny i łagodny, w głosie zaś, gdy przemówiła, brzmiała powaga i stanowczość, starszemu właściwa wiekowi.



Nagrodzony. (str. 168).

— Gwalbercio — zawołała — idź zaraz znosić prędzej to co przykazałam. Czemu nie uczyniłeś tego pierwej? Tak to spełniasz swą powinność? Wybaczcie, waszmość panowie, samowolny postępek tego oto sługi mego — dodała, zwracając się z wdzięcznym uśmiechem do umilkłych na jej widok zapaśników — i nie miejcie mi za złe, że dom ten wygląda dotąd ponuro i żałobnie. Bóg mi świadkiem, że nikt więcej nie raduje się z przybycia miłościwego pana naszego, ale zajęcie ważną sprawą nie dozwoliło mi czuwać samej nad tem, co uczynić należało...

Ostatnie słowa panna Marychna wymówiła głosem drżącym od wzruszenia, który rozbroił do reszty zgromadzonych.

Wnet też podawać poczęto wszystko, co przyozdabiać miało na zewnątrz kamienicę.

Młoda gospodyni szepnęła coś jednemu z domowników, i zaraz pacholcy wynieśli kosz, naładowany bochnami chleba, serem i wędliną, a drudzy znów konwie miodu.

— Jeżeli łaska — rzekła, zwracając się do gromadki, stojącej jeszcze przed domem — zechciejcie odwilżyć gardła, a potem dopomóż nam w pracy, bo już słońce wysoko, i niewiele mamy czasu.

Przemowa ta odniosła pożądany skutek.

— Za zdrowie wasze, miłościwa panno — rzekł Pietrasz, wychylając najpierwszy podany mu kubek — miodek niezgorszy, a w gardle w samej rzeczy dyabelnie mi zaschło, ujadając się z krnąbrnym sługą waszym.

Wszyscy następnie poszli za danym przykładem, wyróżniono wnet kosz i dzbany i zabrano się żwawo do roboty. Stojąc na przyniesionych drabinach, przybijano tu i owdzie ćwieki, a panienka, niby kunsztmistrz jaki, sama wskazywała gdzie co umieścić wypada, i w niespełna dwie godziny cały dom wyglądał niby wirydarz pełen zieloności i różnobarwnego kwiecica, które otaczało błyszczące od złota imiona króla i królowej. Właśnie gdy ukończono robotę, oblaną niejednym dzbanem miodu, a panna Marychna nadto jeszcze obdarzyła hojnie pracowników, nadszedł pan burmistrz z jednym z panów radnych, który wraz z nim obchodził miasto, aby się przekonać czy wszystko będzie w należyтым porządku, zanim nadciągnie orszak królewski.

— No, ktoby się spodziewiał — rzekł rajca, zatrzymując się — że kamienica pana Siegfrida Gise, który serce miał niemieckie, równie jak inne, przystroi się świątecznie na przyjęcie miłościwego króla naszego... ktoby się spodziewał!

— Alboż nie wiecie — odrzekł burmistrz — że przed samą śmiercią sprzedał ją bratu swemu Piotrowi? Piotr człek był zacny i oddany całym sercem tej ziemi, na której wzrósł w dostatki.

— Tak, to prawda, Piotr nie miał nic wspólnego z bratem prócz nazwiska, które mi zawsze tamtego przypomina.

— Obaj też w jednym czasie prawie zeszedli ze świata.

— Z tą wszakże różnicą, że Piotr odżył tylko po kądzieli, nie mając męzkiego potomka, a Siegfried zostawił dwóch synów, którzy się nam jeszcze dadzą we znaki...

— Oj, co prawda to prawda; starszy komtur Ulrych ma już zasługi w zakonie, a młodszy Albert nie o wiele lepszy; sprawdza się na nich obu przysłowie, że niedaleko jabłko pada od jabłoni.

— Podobnie jak i na potomstwie Piotra, bo córka jego, dziedziczka jedyna wienia pani Hanna z Oporowa, zacna była ze wszech miar niewiasta; po śmierci męża zajęła się, jak Bóg przykazał, dziećmi, z których miałyby pewno pociechę. Młodsze niebożątka jeszcze nie mogła okazać czem będą, ale panna Marychna, lubo zaledwie skończyła lat szesnaście po tajemniczym zniknięciu matki zastępuje ją we wszystkim. Opiekuje się młodszem rodzeństwem i ponimo żalu i smutku sierocstwa umie zarządzać domem i czeladzią.

— Nie każda na jej miejscu potrafiłaby sobie radzić podobnie, to pewna... zwłaszcza też po tak dziwnym, a strasznym wypadku.

— Stało się to podobno niezadługo jakoś po śmierci pana Piotra — rzekł rajca, wpatrując się w zielonym bluszczem owite okna domu.

— Tak, w pół roku może. Pani Hanna, tknięta jakimś złem przeczuciem, nie chciała dłużej zostawać na wsi i pragnęła powrócić do Torunia. Wybrała się wczesnym rankiem w drogę, wysławszy naprzód dzieci z wierną Katarzyną, która je wszystkie wyniańczyła. Dzieci przejechały szczęśliwie, a ona nieboga nie zobaczyła ich więcej...

— Napadli ją pono zbójniki w lesie?

— Tak, napadli i prawdopodobnie zabili, lubo nigdzie nie znaleziono śladu...

— Jakże to było, bo już dobrze nie pamiętam...

— O mroku zepsuło im się koło u wozu, i wysiąść musieli wszyscy: ona, dziewczka służebna, woźnica i dodany mu do pomocy pacholek. Podczas, gdy starali się wóz jako tako naprawić, aby dociągnąć do gospody poza lasem, wypadli z gęstwiny jacyś ludzie, umazani sadzą dla niepoznaki, i nie zważając na kobiety, zaczęli okładać kosturami pacholka i woźnicę. Woźnica upadł zemdlony i sądzili zapewne, że jest zabity, pacholek zaś zdołał się z rąk ich wydrzeć i przywlokłszy się na drugi dzień do miasta, opowiedział wszystko, co zaschło. Wysłani ztąd ludzie odszukali wóz i konie, nawpół umarłego woźnicę i prawie nieprzytomną dziewczkę, która z przestrachu wielkiego nic nie pamiętała więcej prócz tego, że słyszała ukryta

w krzakach, głos pani, wołający ratunku, ale ruszyć się nie śmiała. Gdy wszystko ucichło i wyszła, już nie było nikogo. Niezadługo, gdy się zupełnie ściemniło, posłyszała wycie wilków i miauczenie rysiów. W najwyższym przerażeniu ukryła się znów w dziupli pnia spróchniałego, z kądem przez wydrążony z boku otwór widziała błyszczące w dali, jak błędne ogniki, ich ślepią. Gdy wyszła nad ranem ze swego ukrycia i szukać poczęła śladów pani, napotkała na skraju lasu chustkę jej i kilka szmat, oddartych z sukni... ztąd poszło mniemanie, że pani Hanna stała się łupem dzikiego zwierza.

— Tak przypominam sobie teraz, ale wam powiem, że w tem wszystkiem nie prawdziwych zbójników dzieło... Jest tu jakaś tajemnica, która się z czasem wykryć musi.

— Rok już przeszło minął, toć i dość czasu.

— A może nie było chodzić komu koło tego?

pełny podzwrotnikowych roślin, krzewów i naturalnie kwiatów. Są to wyspy Scyllejskie, po angielsku Scilly Isles, raczej niewielka grupa małych wysepek, otoczona ze wszech stron przez ocean Atlantycki i leżąca w odległości 40 kilometrów na południo-zachód od najbardziej wysuniętego na zachód krańca Anglii, zwanego przylądkiem Land's End (końiec ziemi). Pomimo swego względnie północnego położenia, cieszą się wyspy owe wyjątkowo pogodnym i równym klimatem, ponieważ ze wszystkich stron oblewa je ciepły Golfstrom, to jest ten olbrzymi stały prąd morski, który od zatoki Meksykańskiej płynie niby szeroka bardzo rzeka śród Oceanu ku wybrzeżom Europy. Na wyspach Scyllejskich mrozu i śniegu nie bywa prawie nigdy, dmą tylko silne wiatry, od których jednak niezbyt trudno zasłaniać ogródki za pomocą wysokich murów z kamieni, których na wyspach tych jest bardzo wiele.

Względy te skłoniły wykształconą i przedsiębiorczą rodzinę Dorien Smith, do której należą wyspy Scyllejskie, do zaprowadzenia przed 40-tu laty na wielką skalę hodowli roślin egzotycznych i wczesnych kwiatów, co jej się znakomicie udało. Na głównej wysepce, zwanej Tresco, mieści się rezydencja właścicieli, a w koło niej park, jaki tylko na Riwierze koło Nicei lub Mentony zobaczyć można. Rosną tam pod gołym niebem wielkie kaktusy, drzewa gumowe, krzewy fuksjowe, bambusy, eukaliptusy, palmy różnych gatunków, aloesy i agawy. Oprócz tego, na równych i bardziej żyznych miejscach, ścielą się istne łąki kwiatów: narcyzów, asfodeli, goździków, lilii i t. d., które na wyspach Scyllejskich kwitną o dwa miesiące wcześniej niż w Anglii, a nawet północnej Francji. Handel temi roślinami, a zwłaszcza wczesnymi kwiatami, stanowi główne źródło bogactwa mieszkańców, gdyż dostarczają je stale do Londynu, gdzie naturalnie mogą z łatwością konkurować z kwiatami przywożenymi z południa, lub hodowanymi w cieplarniach.



Część parku Tresco na wyspie kwiatowej.

— I owszem, nawet Ulrych i Albert znaleźli się tym razem jak dobrzy krewni, bo choć od niejakiego czasu zerwali z panią Hanną, którą młodszy z nich chciał poślubić, a ona go odrzuciła, ofiarowali swą pomoc sierotom. Kazali czynić poszukiwania na wszystkie strony, ale daremnie. Nie odkryto zbójów, ani też nie odnaleziono więcej śladów nieszczęśliwej kobiety.

— Nie dowierzałbym ja szczerości Krzyżaków... Lękałbym się nawet, ażeby nie ukrywali jakich złych zamiarów dla sierot.

— I panna Marychna z nimi nie trzyma, a nawet powiedzieć można, że ma wstręt do nich.

Tu mowę burmistrza przerwał nadbiegający pacholek miejski z wieścią, że król zbliża się już do bram miasta.

(d. c. n.)



Inna część parku Tresco.

WYSPY KWIATOWE.

Zdawać się może po przeczytaniu tytułu, że będzie to mowa o jakichś wyspach, położonych w okolicach podzwrotnikowych, pod gorącym słońcem południa, tymczasem mało z was komu wiadomo, że w naszej części świata, to jest w Europie i to bynajmniej nie na morzu Śródziemnym, ale bardzo blisko Anglii, na 50° stopnia szerokości geograficznej, czyli mniej więcej w takiej odległości od bieguna północnego, jak Kraków, leżą wyspy, zasługujące ze wszech miar na nazwę wysp kwiatowych, ponieważ przedstawiają się niby ogród,

Rzadcy goście, którzy odwiedzają te wyspy, nie mogą się dość nadziwić uroczej ich piękności; wyglądają one bowiem, jak duże kosze kwiatów i zieleni w kamiennej oprawie skał, rzucone w nieskończoną przestrzeń oceanu, który szumi i pieni się, rozbijając o nie swe fale.

Na jednej z wysp wzniesiono wysoką latarnię morską, a rząd angielski ma tam wkrótce urządzić stację dla okrętów ze stałym zapasem węgla. Podobno mają też tam założyć dom zdrowia dla chorych, potrzebujących równego i łagodnego morskiego klimatu. Niewątpliwie będzie się cieszył wielkiem powodzeniem, gdyż przeprawa od najbliższego miasta angielskiego Penzance nie jest zbyt długą.

SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Jestem bosmanem tego statku, a nazywają mię ogólnie Hurliguerly. Jestem wiernym towarzyszem kapitana Len Guy, który chociaż jest znanym z tego, że niczyich rad nie słucha, względem mnie wszakże robi często wyjątek.

— A więc przyjacielu — odpowiedziałem pod wpływem myśli, że usługi tego człowieka mogą rzeczywiście stać mi się przydatne — pomówmy trochę o interesie, jeżeli masz obecnie czas wolny.

— Rozporządzam całemi dwiema godzinami, chociaż w ogóle mało jest roboty dzisiaj. Jutro trzeba będzie trochę towaru wyładować, nieco też zabrać znowu na statek, ale to żadna praca, to wypoczynek dla załogi. Chodźmy więc — dodał, wskazując ręką oberżę, i szerokim krokiem podążył w tymże kierunku.

— Czy nie moglibyśmy porozumieć się tutaj — zauważyłem.

— Rozmawiać, panie Jeorling, stojący i z suchem gardłem, gdy tak łatwo usiąść za stołem pod „Zielonym Kororanem”, z lampeczką mile rozgrzewającego whisky...

— Nie pijam nigdy, panie bosman...

— Szkoda wielka! Będę jednak pił za pana i za siebie! Nie sądź pan wszakże, abym był nałogowym pijakiem! Nigdy więcej nad miarę, a tyle tylko, ile trzeba...

— Widocznie dobry to pływak po karczemnych wodach — pomyślałem, idąc za rozprawiającym ciągle marynarzem. Zaszedłszy do oberży w nieobecności Atkinsa, zajętego właśnie na pokładzie statku traktowaniem sprzedaży i kupna przedmiotów swego handlu, kazałem podać dla mego towarzysza butelkę whisky i skoro wychylił pierwszą szklankę, rzekłem:

— Rachowałem głównie na Felicjana Atkinsa, że mi ułatwi porozumienie z kapitanem Len Guy, zostaje z nim bowiem, jak mię zapewniał, w przyjaznych stosunkach.

— Et — mruknął Hurliguerly — Atkins jest poczciwym człowiekiem, kapitan przyznaje to nawet, ale w tej sprawie nic on nie znaczy, pozwól mnie samemu działać, panie Jeorling.

— Czyż to rzecz tak trudna do przeprowadzenia? — zapytałem zdziwiony — czyż nie ma ani jednej wolnej kajuty na waszym Halbranie? Mnie najmniejsza wystarczy, a zapłacę dobrze.

— Wtem przeszkoda najmniejsza, bo kajutę wolną, dotychczas ani razu jeszcze nie zajęta, mamy przecież na naszym statku. Ale widzi pan, (ja tylko w zaufaniu panu to mówię), że trzeba wielkiego sprytu, większego jak go ma Atkins, aby skłonić naszego kapitana do zabrania obcego pasażera. On temu zawsze stanowczo się opierał... Na pomysłość pańską! — dodał, wychylając drugi kieliszek, po czem zabrał się do nałożenia mocno woniejącym tytuniem, swej krótkiej, od użycia czerniałej fajeczki.

— A więc panie Hurliguerly — rzekłem, przerywając chwilowe milczenie.

— Słucham pana — odpowiedział mój towarzysz, otoczony kłębem dymu.

— Powiedz mi, jakie są przyczyny tak niegościnnego usposobienia waszego kapitana.

— Bo się to nie zgadza z jego upodobaniem, bo nie lubi krępować się niczem. Jeździ gdzie i jak mu się podoba, nieraz też każe w pół drogi nawracać, a nikt z nas nie wie dla

czego. Nawet mnie tego nie powie, chociaż już długie lata żyjemy razem, jeżdżąc bezustannie od Australii do Ameryki, od Hobartown do Kerguelen, od Tristan d'Akunha do Falklandu. Parę razy zapuściliśmy się nawet aż do lodowców morza podbiegunowego. Jednem słowem, jedziemy, gdzie wiatr nas poniesie, a wszędzie zatrzymujemy się tyle tylko, ile potrzeba dla interesów handlowych. W takich warunkach, widzi pan, każdy pasażer jest zawadą, krępującą niepotrzebnie.

Słuchając mego towarzysza, powziąłem przekonanie, że posiadając ogólną wadę marynarzy, lubi bardzo mijać się z prawdą, i widziałem w tem jedynie chęć przedstawienia mi w jakimś tajemniczym mroku statku Halbran, i kapitana jego pechanego fantazją lub siłą przeznaczenia w bezcelowe tułactwo.

— Jest jednak rzeczą pewną, że opuścicie Kerguelen za cztery lub pięć dni?

— Najniezawodniej.

— I udajecie się stąd do Tristan d'Akunha.

— Być może...

— A więc, panie bosman, ta „możliwość” wystarczy mi, i ponieważ ofiarowałeś mi swoje usługi, zechciej więc wpłynąć na swego kapitana, aby mię przyjął jako pasażera.

— Może pan uważać to już za rzecz pewną.

— Doskonale! i zapewniam cię, panie bosman, że nie będziesz miał powodu żałować oddanej mi przysługi.

— Przyjemnie mi, że będę panu użytecznym; tymczasem jednak muszę już odejść, nie czekając nawet powrotu Atkinsa! — zakończył marynarz. I wychyliwszy ostatnią szklankę whisky, pożegnał mię przyjacielskim uśmiechem, a kolysząc się na łukowato zgiętych nogach, otoczony kłębam dymu swej fajki, przyspieszonym krokiem podążył do portu.

Pozostawszy sam w obszernej izbie oberży, pogrzyżłem się w głębokiej zadumie, nie mogąc rozwiązać pytania, jakaby w rzeczywistości mogła być przyczyna tak niechętnemu przyjmowaniu obcych pasażerów na pokład Halbrana. Ze kapitan Len Guy, według zapewnień Atkinsa, jest dzielnym marynarzem, o tem nie miałem racji wątpić. Dla czego wszakże owa tajemniczość i dla czego unikanie obcych ludzi? Czy przypadkiem dzielny kapitan nie uprawiał w skrytości kontrabandy, lub co gorsza, nie prowadził handlu niewolnikami? Nie byłoby w tem nic nieprawdopodobnego, mimo gorących zapewnień Atkinsa o jego zacności, bo i co wreszcie mógł wiedzieć taki oberżysta, który nie miał z nim innych stosunków, prócz zamiany drobnych towarów, w czasie jego krótkiego spoczynku u wysp Kerguelen. A może też szanowny bosman ze swem zbyt widocznym upodobaniem do whisky, starał się usługi swe spotęgować, by tem sowitszą otrzymać nagrodę. Może sam kapitan, jako kupiec z zawodu, będzie nawet bardzo zadowolonym, że znajdzie pasażera tak mało wymagającego, a gotowego płacić sownie. Wszystko to jest możebnem, powiedziałem sobie wreszcie, i by skrócić czas oczekiwania, postanowiłem przejść się trochę.

Po godzinie przechadzki spotkałem Atkinsa na brzegu portu i opowiedziałem mu rozmowę z bosmanem.

— A to ci panie zarozumiałe stworzenie z tego Hurliguerly — zawołał z oburzeniem oberżysta — on bodaj chciałby wmówić każdemu, że kapitan nosa sobie nie utrże bez jego dorady! W gruncie nie zły to człowiek, lubi jednak pasjami wyciągać gwineje z cudzej kieszeni... Miej się więc pan na bacznosci przed nim, ściśnij swoją sakiewkę i nie pozwól się wyzyskać!

— Dziękuję ci za życzliwą radę, mój dobry Atkinsie — odrzekłem — powiedz mi wszakże czyś mówił już z kapitanem Len Guy w moim interesie?

— Jeszcze nie, panie Jeorling, mamy na to czasu do syć, toż Halbran zaledwie osiadł na kotwicy.

— To prawda, chciałbym jednak mieć już w tym względzie pożądaną pewność.

— Bądź pan zupełnie spokojnym! Niema się czego obawiać, rzecz ta ułoży się sama. Tylko trochę cierpliwości! Zresztą nie ten to inny statek, których przybycia tylko parzyć, zabierze pana bez trudności. Wkrótce będziesz pan

miał wybór większy niż między domami, jakie otaczają oberżę pod Zielonym Kormoranem, za to poręczam panu moją osobą

Lecz piękne te słowa i zapewnienia zarówno ze strony bosmana jak oberżysty nie zadowolniły mię wcale, postanowiłem więc przy pierwszej sposobności osobiście sprawę rozjaśnić.

Nie czekałem długo. Zaraz na drugi dzień rankiem, gdym chodził w przystani, podziwiając silną a lekką budowę żaglowca, spostrzegłem idącego tam również kapitana, i mimo widocznej jego chęci ominięcia mię, podążyłem ku niemu.

W chwili jednak, gdym już miał wymówić słowa powitania, nadszedł pułkownik, i obadwaj tak szybkim krokiem zwrócili się w bok, iż niebawem zniknęli mi z oczu za ostrym załomem skały.

— Tam do licha! — zawołałem zniecierpliwiony — i znowu głupia niepewność! Ale jutro nie będę już czekał żadnej sposobności, pójdę zaraz rano wprost na statek, niechże raz wiem: „tak czy nie”!

Uspokojony nieco tem postanowieniem, wróciłem do oberży, bo też obiadowa zbliżała się już godzina. Jest wszakże wrodzonym naturze ludzkiej, że wbrew doznanyemu zawodom spodziewa się jeszcze otrzymać czego pragnie. Więc i ja mimowolnie jakoś opóźniłem rozkaz podania obiadu w nadziei spożycia go w towarzystwie kapitana, który, jak mi się zdawało, nie omisszka skorzystać ze sposobności zmiany pożywienia, tak ogólnie pożądaney dla zdrowia.

Lecz i w tem czekał mię zawód. Samotny, jak przez tyle dni poprzednich zasiadłem do stołu i noc już zapadała poczęła, gdym wychodząc, spotkał na progu oberżystę palącego spokojnie swą fajkę. Spojrzałem w stronę portu, nad słuchując zwykłego objawu ruchu i życia wśród przybyłej na wypoczynek załogi. Zaden jednak głos ludzki, żadne kroki przechodzącego nie wmieszały się do szumu i łoskotu wywołanego przyplływem morza. Oprócz jednego światełka z masztu, ciemność otaczała Halbran.

— Bodaj wszyscy tu z akuratnością życia w koszarach, stawić się muszą do nocnego spoczynku równo z zachodem słońca — pomyślałem.

— Zdaje się, że kapitan nie bardzo lubi odwiedzać twoją oberżę, panie Atkinsie — zagadnałem po chwili oberżystę.

— Zachodzi tu czasem w niedzielę, a dziś sobota, panie.

— Nie mówiłeś z nim dotychczas o moim interesie?

— Owszem, mówiłem... — odpowiedział zagadnięty — lecz w głosie jego odczułem pewne wahanie.

— Więc cóż?...

— Nie tak, jak się spodziewałem i jak pan tego pragniesz...

— Odmawia?...

— Atkinsie — powiedział mi — ty wiesz, że mój statek nie jest pasażerski, nie miałem nigdy nikogo obcego na nim, i na przyszłość mieć nie chcę!

Kapitan Len Guy.

Spałem źle tej nocy, po kilka razy „śniłem, że śpię”, co według zdania Edgarda Poë, poprzedza zawsze natychmiastowe przebudzenie. Budziłem się też co chwila, zawsze z uczuciem urazy i niechęci względem kapitana Len Guy, który mógł stanąć w poprzek mym planom, i to jedynie z powodu niezem niczasadnionego kaprysu.

Wzburzony i zły obudziłem się wreszcie rano postanawiając co najprędzej rozmówić się z tym „kolczastym jeżem”, jak go w mym gniewie przezwałem. Gdym jednak spojrział przez szyby mego okna, na zakryte ciężkimi chmurami niebo, na potoki deszczu zlewające ziemię i posłuchał wycia rozbijającego się wśród skał wichru, wzburzenie moje doszło do szczytu.

— Czyżby i niebo samo sprzysięgło się przeciwko mnie? — pomyślałem, ubierając się z nerwowym pospiechem. — Na taki czas, gdzie to jak mówią „i psa źle wygnąć”, nie mogę

się spodziewać, bym kapitana spotkał na wybrzeżu. Podpłynąć zaś w łodzi do żaglowca, nie uważałem za stosowne, raz dla silnie wzburzonego morza, a potem jako gościowi, nie wypadałoby mi tam odpowiedzieć na stanowczą odmowę tak, jak to sobie układałem. W podobnych warunkach zawsze stosowniejszym jest grunt neutralny.

Postanowiłem więc uzbroić się raz jeszcze w cierpliwość i przeczekać niepogodę, bacząc wszakże pilnie, przez zalewane deszczem okno mego pokoju, na każdą zmianę, na każdy ruch w przystani.

Tak upłynęły mi długie dwie godziny, a jak się to często na Kerguelen zdarza, wiatr zmienił nagle swój kierunek i popędził w bok deszczowe chmury.

Coprędzej ubrałem się w futro, nasunąłem na głowę czapkę i pospieszyłem na brzeg. W tej właśnie chwili do spuszczonej łodzi Halbran'a schodziło dwóch ludzi, jeden z nich siadł na ławie, drugi ujął wiosło. Łódź pomknęła szybko i za chwilę człowiek siedzący wyskoczył z niej na brzeg przystani.

Poznałem w nim kapitana. Bez chwili namysłu podszedłem ku niemu i nie zwracając uwagi na widoczne w jego twarzy niezadowolenie.

— Chcę prosić pana o chwilkę rozmowy — rzekłem.

Zagadnięty zwrócił na mnie bystre spojrzenie czarnych jak węgiel ocz swoich, w których głębi widniał dziwny jakiś smutek, i po chwili głosem cichym, prawie szeptem, zapytał:

— Pan jesteś tu obcym?

— Tak jest — odpowiedziałem — obcym na Kerguelen.

— Narodowości angielskiej?

— Nie panie, amerykańskiej.

— Przyjemnie mi — rzekł kapitan, składając mi sztywny ukłon, na który równie ceremonialny gest był odpowiedzią z mej strony.

— Zdaje mi się — rzekłem bez zwłoki czasu — że właściciel oberży pod Zielonym Kormoranem, przedstawił wczoraj panu moję propozycję.

— Propozycję zabrania pana na mój statek? — zapytał kapitan.

— Tak właśnie.

— Przykro mi bardzo, iż nie mogę życzeniu pana uczynić zadość

— Czy wolno mi wiedzieć, jaki jest powód tej odmowy?

— Nie mam zwyczaju zabierać pasażerów, to pierwsza przyczyna.

— A druga, kapitanie?

— Plan podróży Halbran'a nie bywa nigdy z góry oznaczony. Jedziemy od portu do portu, stosownie do tego, jak mi z interesów wypada. Nie należę bowiem do żadnego stowarzyszenia kupieckiego i statek Halbran jest w większej części moją własnością, nie potrzebuję więc słuchać niczyich rozkazów.

— W takim razie jedynie też od pana zależy zabrać mnie lub nie.

— Tak jest rzeczywiście, to też przykro mi, że zmuszony jestem powiedzieć „nie”!

— Może pan zmienisz zdanie, gdy cię zapewnię, iż jest mi obojętną rzeczą, dokąd właściwie mię zawieziesz, bo przecież w jakiej nieznanej stronie...

— W nieznanej stronie... i to hyć może... — odrzekł dziwny ten człowiek, zwracając smutne spojrzenie — tak mi się przynajmniej zdawało ku dalekiemu południu.

— A więc panie — rzekłem, opanowując jeszcze zniecierpliwienie — zgadzam się i na taką możebność, bo przede wszystkim zależy mi na szybkim opuszczeniu wysp Kerguelen, na których nie mam już co robić.

Kapitan stał chwilę zamyślony, nie dając mi żadnej objaśnienia, ale też nie okazując chęci pożegnania.

— Pan mię zrozumiałeś, sądzę — rzekłem, aby przypomnieć mu moją obecność.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź, jakby człowieka zbudzonego ze snu.

— Dodam więc jeszcze, że jeżeli mię fałszywie nie poinformowano, Halbran miał wyruszyć z portu Christmas do wyspy Tristan d'Akunha.

— Może tam, może do Przylądka, może do Falklandu, albo gdzieindziej jeszcze.

— Więc kapitanie, właśnie tam „gdzieindziej” i ja chciałbym podążyć — odpowiedziałem z widocznym już zirytowaniem.

Tu nagle zaszła zmiana w tym zagadkowym człowieku. Głosem ostrym, stanowczym powiedział mi w krótkich słowach, że odmowa jego jest nieodwołalną, a poświęcony mi czas zbyt długo się przeciąga, z krzywdą jego własnych interesów.

Już wyciągnąłem ramię, aby przytrzymać odchodzącego i rozmowa, która się źle rozpoczęła, mogła jaknajgorszy mieć koniec, gdyby znowu pod wpływem nagłej zmiany, kapitan Len Guy nie był się ku mnie zwrócił i począł się tłumaczyć głosem łagodnym i smutnym:

— Niech mi pan wierzy, iż z prawdziwą przykrością przychodzi mi okazać się tak mało uprzejmym i nie zadowolnić życzenia pana. Nie wypada mi wszakże inaczej postąpić, bowiem w podróży naszej może nagle zajść jakoweś zdarzenie, najmniej nawet oczekiwnane, a wtenczas obecność obcego pasażera, choćby tak zgodnego jak pan, stałaby się dla mnie kłopotliwą.

— Powtarzam panu, panie kapitanie, że jeżeli zamiarem moim jest wrócić do Ameryki, do Connecticutu, to znowu jest mi obojętnym, czy podróż ta potrwa trzy czy sześć miesięcy, tą albo inną drogą; i gdyby nawet statek pana popłynąć miał aż do morza antarktycznego...

— Do morza podbiegunowego? — zawołał kapitan głosem, w którym brzmiało nieukrywane zdziwienie, i zatopił we mnie wzrok bystry, badawczy. — Dla czego mówisz mi pan o morzu antarktycznym? — dodał, chwytając mię za rękę.

— Nie miałem nic szczególnego na myśli, mówię o nim tak samo, jak o jakiegokolwiek innej stronie świata, jak np. o biegunie północnym — odpowiedziałem spokojnie.

Kapitan stał nieruchomo, zdawało mi się tylko, że łzy zabłysły w jego oczach, aż po dłuższej znowu chwili, jakby usiłując dać nowy bieg swym myślom, rzekł zwykłym sobie cichym głosem:

— Biegun południowy, któż śmiałyby się tam zapuścić!...

— Dosięgnąć go jest rzeczą niemożliwą, nawet zupełnie bezpożyteczną — odparłem — wszakże znajdują się ludzie umysłowo dość awanturniczych, by przedsiębrać podobne wyprawy.

— Tak jest, umysły awanturnicze — szepnął kapitan Len Guy.

(d. c. n.)

NAGRODZONY.

Każda nowość nęci i zaciekawia, więc też oryginalna „wystawa kotów”, jaką urządził niedawno zarząd ogrodu

aklimatyzacyjnego w Paryżu, cieszyła się wyjątkowemi względami publiczności, wśród której nie zabraknie podobno nigdy wielkich lubowników „kocięgo rodu”. Ze zaś w urzędzeniu wystawy nie oszczędzono trudów i kosztów, a koty rozrzucone malowniczo w cieniu tropikalnych roślin, utworzyły jakby jakiś zaczarowany zakątek świata, więc ogólny zachwyt ścigał coraz nowe tłumy zwiedzających.

Oczywiście też piękne okazy tych ulubieńców pań i dzieci, rozmieszczone wygodnie w ładnych swych mieszkaniach, podejmowane były, jak się czasowim gościom przynależy, z wielką uwagą i troskliwością; zatem wygodna poduszka do spoczynku, i czareczki ze świeżem mlekiem i kawałkiem mięsa stały zawsze w pogotowiu.

Jak sam pomysł wystawy, tak oryginalnym też był komplet sędziów zaproszonych do wyznaczenia nagród najurodzivszym lub najoryginalniejszym okazom, podzielonym na dwa działy: kotów krajowych i zagranicznych. W komplecie więc tego sądu, znajdujemy nietylko uczonych przyrodników, lecz i poetów.

Z działu kotów dzikich, dość licznie przedstawionych, budził ciekawe zajęcie mały jaguar, mieszkaniec stepów amerykańskich, zły i najeżony, tak dzika ta natura nie nadaje się widocznie do oswojenia. Jakby żywe przeciwieństwo umieszczony w sąsiedniej klatce lamparcik z Cayenu, łagodny i wesoły, jak prawdziwe kociątko, był przedmiotem zabawy i podziwu. Żałować jednak należy, że ani żbik ani ryś, jedynne koty Europy, nie miały na wystawie swych przedstawicieli.

Z zagranicznych, domowych, największem powodzeniem cieszyły się okazy: kotów syamskich, z ich futerkiem koloru jasno kawowego, a czarnym pyszczkiem, uszkami, łapkami i takimże długim ogonem. Całą rodzinę ładnych tych stworzeń wystawiła pewna mieszkanka Paryża, zyskując dla jednego ze swych protegowanych nagrodę drugą. Wizerunek tego oryginalnego laureata przedstawia dołączona rycina. Nagrodę pierwszą otrzymał wesoły lamparcik.

Dział kotów swojskich odznaczał się przedewszystkiem wzrostem i tuszą, dając tem najlepsze świadectwo troskliwości swych opiekunów. Pierwsza nagroda przyznana została wspaniałemu *angora*, druga przedstawicielowi ogólnie znanego typu burków o tygrysowatych pręgach za wspaniałą postawę, oraz harmonię barwy i rysunku, jaki zdobił jego futerko.

Podobno powodzenie tej pierwszej wystawy, tak zachęciło zarząd, że projektowaną jest w niedalekiej przyszłości druga, i w tym celu spisane zostały warunki cech i urody nadsyłanych okazów. Tak więc koty o sierci krótkiej, mają być albo bez najmniejszej odmiany jednakowej barwy, albo jeżeli są centkowane lub pręgowane, to z pewną systematycznością, a centki i prążki wyraźnie odmiennego koloru. Koty o długim włosie, zdobić ma futerko piękne, miękkie i bogate.

Jaka szkoda, powie niewątpliwie niejedna z naszych czytelniczek, że Paryż tak daleko, gdyż z pewnością mój śliczny kotek zyskałby tam najwyższe uznanie! Nie chcemy o tem wątpić, bo nie brak przecie u nas urodziwych kotów domowych.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Wojny krzyżowe p. J. B. — A. z Ch. Borkowska, Panna Marychna z Oporowa. — Wyspy kwiatowe (z ryc.) — Sfinks lodowy Juliusza Verne'a przekład M. D. — Nagrodzony (z ryc.) — Dodatek: Przygoda Jędrusia, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem — Spotkanie, przez Teresę Jadwigę. — Wieszczka bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



PRZYGODA JĘDRUSIA.

III.

Nareszcie, głosem sumienia wiedziony,
Opuszcza Jędrus rozbawione grono,
I, chcąc uniknąć kary za spóźnienie,
Chwyta pospiesznie tacę porzuconą.

Gdy wtem — krzyk jego rozlega się nagle,
I, ku radości chłopców tam zebranych,
Miluś wypada na ziemię, jak z procy,
A za nim — reszta ciastek połamanych.

J. D.



POGADANKA Z WUJEM.



(Dokończenie).

Do tych przede wszystkim należą „gołębie wędrowne”, które w stadach, liczących setki milionów sztuk, jak olbrzymie chmury, zaciemniające blask słoneczny, przeciągają przez kraje Ameryki północnej. W krótkim też czasie okolica, nawiedzona przez tych przybyszów, przedstawia straszny obraz spustoszenia, bo nie dość, że niszczą całe obszary pól, ale nawet lasy zostają po ich odlocie jak po przejściu huraganu, tak gałęzie i drzewa całe łamią się pod ciężarem osiadłego na nich ptactwa. Jednakże mieszkańcy tamtych stron nie uważają tego za klęskę, owszem, przybycie gołębi staje się dla nich źródłem szybkiego dorobku, urządzają bowiem wtenczas wielkie polowania z najrozmaitszą bronią, gdyż tłuste i smaczne mięso wędrownego gołębia stanowi przedmiot zyskownego handlu z dalekimi nawet krajami.

— Biedne gołąbki — zawołał Władzio — jaby mi jednego zabić nie mógł!

— Wierzę bardzo, chociaż nie samo odebranie życia jakimkolwiek zwierzęciu źle świadczy o duszy człowie-

ka, ale bezcelowe krzywdzenie i dręczenie, ponieważ ma przewagę nad nim.

— Wie wujaszek — odezwał się Władzio po krótkiej chwili milczenia. — Antek opowiadał mi, że ma w dużej drewnianej klatce też niby gołębie, które „synogarlicami” nazwał. Mają one ciągle wołać: „cu-krru, cu-krru! Obiecał nawet, że jak małe podrosną, to mi podaruje jedną parkę. Nie wiem tylko, czy ciocia i wuj pozwolą, żebym je sobie hodował?

— Dlaczego nie, moje dziecko! Ptaki te, od małego wychowane w klatce, nie czują już pewnie, że są w niewoli, jeśli tylko mają pana, który pamięta o ich potrzebach.

— Ale one muszą dużo zjadać cukru, kiedy tak ciągle o niego proszą?

— Oj, powiedziało się coś niedorzecznego! Czyż to gołębie znają naszą mowę?..

— To prawda, wujku — rzekł zarumieniony chłopiec — ale czernu one właśnie niby ten wyraz powtarzają?

— Bo taki jest przez naturę dany im głos, podobnie, jak rzenie konia, beczenie owcy lub pianie koguta.

— A czy już niema innych gatunków gołębi?

— Jest jeszcze z pomiędzy więcej znanych ładna, błękitnawa „turkawka”, która ukazuje się w Niemczech, jako ptak przelotny, a żyje stale w krajach Azji i Afryki. Wszystkie jednak te odmiany pod wspólną nazwą: *gołębi* stanowią zupełnie *oddzielny rząd*, którego cechą są nogi krótkie, z czterema również krótkimi, cienkimi i zupełnie rozdzielonemi palcami, oraz krótki, cienki, na końcu tylko [rogowaty, a przy nasadzie miękką skórką okryty dziób.

Charakterystycznym też, i jedynie im właściwym, jest sposób, w jaki gołębie piją wodę; czyś zauważył to kiedy?

— Widziałem, jak siedziały na korytku u studni i zapewne piły, ale jak, tego już nie wiem.

— A pamiętasz jak piją kury?

— O, i bardzo dobrze, gosposia mi to wytłomaczyła. Kury nabierają do dzióbka trochę wody, którą łykają dopiero, gdy główkę do góry, prawie na grzbiet przechyła.

— Otóż w ten sposób piją wszystkie ptaki, podczas gdy gołębie zanurzają dzióbki w wodzie, ciągnąc ją wprost do gardziółka.

M. D.

SPOTKANIE.

— Geniu, pójdziemy na spacer, słonko tak grzeje, tak świeci jasno — rzekł dziadunio do swej pieścioszki.

Genia rzuciła lalkę, którą w tej chwili ubierała, i pobiegła do matki prosić o pozwolenie.

— Możesz iść, ale pamiętaj, że dziadunio wolno chodzi, więc nie spiesz naprzód i rozmawiaj, żeby się nie nudził — rzekła pani Narzymska, gdy dziewczynka powtórzyła jej życzenie dziadunia i, powstawszy od roboty, do była z szafy biały kapelusz i błękitną sukienkę; ubrawszy Genię, odprowadziła ją do dziadunia.

— Czy ojciec będzie zadowolony z takiej towarzyszki? — zapytała z uśmiechem.

Pan Narzymski pokręcił głową.

— Fiu, fiu, co za elegantka — rzekł, wziął leżący na biurku kapelusz, laskę do ręki i dodał: — no, idziemy.

Dzień był jasny i ciepły bardzo, w ogrodzie Saskim kwitły prześliczne róże, zapach ich wiatr niósł od klombów po alejach pobliskich, tam dziadunio Genię poprowadził. Przyszedł wszakże do ogrodu zmęczony, więc siadł na jednej z ławek pod cieniem kasztanu, obok niego Genia. Dzień był powszedni, mimo to nie brakło spacerujących, dziewczynka przypatrywała się wszystkim ciekawie; uważała, czy panie i panowie, dziewczynki i chłopcy spoglądają na jej ładną sukienkę i modny kapelusz; była nieco próżną, więc gdy przesunął się koło nich kto skromnie ubrany, wyniośle na niego patrzyła, a pomiędzy przechodzącymi nie brakło taich, którzy tutaj nie dla spaceru przyszli, lecz spiesząc za pracą, byli też w codziennych ubraniach.

— Dziaduniu, patrz, jaki ten pan niezgrabny, a surdut jaki ma zniszczony — odezwała się naraz Genia, wzrokiem wskazując idącego naprzeciw nich mężczyznę.

Pan Narzymski nic nie odpowiedział wnuczce, tylko podniósł się z ławki i z wielkiem jej zdziwieniem podał obie dłonie owemu niepozornie wyglądającemu człowiekowi; poczęli witać się serdecznie, poczem dziadunio ujął pod ramię obcego i do swojej ławki zaprowadził.

— Oto moja wnuczka — rzekł, wskazując Genię, a gdy dziewczynka zarumieniona, powstawszy z ławki, ukłoniła się posępnie — dodał, zwróciwszy się teraz do niej: — Czy pamiętasz powiastkę „Nad brzegiem”? czytaliśmy ją razem, zachwycałaś się, płakaliśmy i śmieliśmy się naprzemian, czytając dzieje dobrej Józi; podziękuj temu panu, to on napisał tę powiastkę.

Genia spojrzała z niedowierzaniem na nieznanomego.

— Chyba dziadzio żartuje — pomyślała.

Nieznamy miał chyba dar jasnowidzenia, bo, uśmiechnąwszy się do dziewczynki, rzekł:

— Dzieci są przekonane, że ci, którzy piszą książki muszą być piękni koniecznie, piękniejsi od wszystkich ludzi na świecie, wszak prawda, panienko?

To mówiąc, wyciągnął rękę do Geni, a gdy mu podała swoją z nieufnością, dodał wesoło:

— Bóg sprawiedliwie ludzi obdarza: jednym daje piękną twarzyczkę i piękne sukienki, drugim piękne myśli w głowie i sercu; co lepsze, osądź sama.

I nie czekając odpowiedzi, wstrząsnął dłonią dziewczynki, poczem oddalił się szybko... Genia pogoniła za nim wzrokiem jeszcze więcej zdziwionym, a potem zwróciła się do dziadka.

— Nie wiem, co lepsze, jabym nie chciała wyglądać tak, jak ten pan — szepnęła.

W tydzień po owym spacerze, Genia zachorowała na odrę; biedaczka nudziła się strasznie, bo dzieci znajome nie mogły jej odwiedzać, a mama, zajęta gospodarstwem, często ją odbiegała. Pewnego poobiedzia wszedł do jej dziadunio z książką w rękę.

— Przyniosłem nową powiastkę, napisaną przez autora „Nad brzegiem” — rzekł, witając Genię.

I siadłszy obok łóżka chorej, począł czytać głośno, i znowu śmieli się i płakali razem, a poobiednie godziny ubiegły dziewczynce migm błyskawicy.

— Jak dziadunio tego pana spotka, niech mu bardzo, bardzo podziękuje za dzisiejszy dzień — rzekła Genia, gdy dziadunio ucałował ją na dobranoc.

— Cóż lepsze? piękne myśli w sercu i głowie, czy piękny kapelusz na głowie i ładna twarzyczka? — zapytał staruszek.

Genia się zarumieniła.

— Piękne myśli! — wykrzyknęła bez namysłu — chciałabym, żeby ten pan przyszedł kiedy do nas; choć brzydki i brzydko ubrany, uściskałabym go i powiedziałabym mu, że go kocham za jego ładne powiastki.

Teresa Jadwiga.

WIESZCZKA BZU.

(Kochanemu Józikowi M. ofiaruje autor).

(Dalszy ciąg).

Wieszczka, wyraziwszy margrabinie i hrabinie swoje zadowolenie, zwróciła się do Szkarłatki i zapytała:

— Jak się księżnie podoba nasza zabawa?

— O, nadwyzwyczajnie — odpowiedziała Szkarłatka, czy często pani takie zabawy urządza? nigdy w życiu nie widziałam nic równie ładnego.

— Nie, księżno, bardzo rzadko, zaledwie parę razy do roku, nie mamy na to czasu.

— Doprawdy? I pani także, która jesteś jakby królową w tym ogrodzie.

— Tak, ten ogród jest moją własnością, ale nie na to tylko mam władzę, aby urządzać zabawy; rządzenie zwierzętami, ptakami, roślinami i wszystkim, co się tu znajduje, niemało czasu zabiera. Czy i ty, księżno, masz jaką udzielną posiadłość?

— Mam — odpowiedziała Szkarłatka z dumą — jest nawet większą od tej, i sama nią zarządzam.

— Musisz więc wiedzieć, wiele doświadczenia i przeczności trzeba, aby spory trafnie osądzić, dopilnować, żeby się ptaki wybrały za morze, a zwierzęta odpowiednio na zimę zaopatrzyły.

— O tak — odrzekła Szkarłatka, jak gdyby się znała doskonale na tych rzeczach — nie tak to łatwo rządzić, jak się zdaje, i niemało to pracy wymaga.

Hrabia Lilak wznosił toast na cześć Wieszczki Bzu, a, ta spełniwszy go, oświadczyła, że chce przemówić, i wszyscy się uciszyli.

— Dobrzy moi goście — rzekła wieszczka — miło mi was widzieć tu zebranych, gdyż chcę się z wami pożegnać. Muszę się oddalić na kilka miesięcy dla spraw bardzo ważnych i ogród mój opuścić. Czy więc kto tu z obecnych nie zechciałby wyręczyć mnie przez ten czas i rządzić na moim miejscu?

— To dobre dla młodych, dostojna pani — westchnęła ks. Piwońska, która wołała wyrzec się zaszczytu, niż przyjąć taki kłopot.

— A ty margrabino Zieleni?

— Ja, dostojna pani, umiem zarządzić dworem i znam wymagania etykiety, ale administrować całym ogrodem, tego się nie podejmę.

Wieszczka Bzu zwróciła się do ks. Fuksyi.

— Cóż ty powiesz, księżno?

— Ja, dostojna pani, z chęcią bym ci wyświadczyła tę przysługę, ale wiesz, że jestem młodą i niedoświadczoną... mogę się na wielu rzeczach nie znać... i...

Nim Wieszczka zdążyła odpowiedzieć, Szkarłatka zawołała głośno:

— Jeśli masz dosyć zaufania do mnie, łaskawa pani, z przyjemnością podejmę się wyręczyć ciebie.

— Wszak mówiłaś, że zarządzasz sama posiadłością większą od mojej — odrzekła Wieszczka — musisz więc, księżno Szkarłatko, być doświadczoną, bo zwyczajem są

wszędzie też same. Jeżeliś tak łaskawą, to składam władzę w twoje ręce i poruczam mój ogród twojej pieczy.

Wszyscy zwrócili się z głębokim ukłonem do Szkarłatki, która nie posiadała się z radości, a hr. Lilak wznosił toast na jej cześć. Gdy się wrzawa uciszyła Szafirka szepnęła siostrze:

— Czy ty, Szkarłatko, żartujesz, czy chcesz naprawdę rządzić w państwie Wieszczki?

— Ma się rozumieć, że nie żartuję, cóż to może być trudnego.

— Przecież ci sama Wieszczka mówiła, że trzeba się znać na bardzo wielu rzeczach, a ks. Fuksya wymawiała się, że nie jest dosyć doświadczoną.

— Księżna Fuksya musi być taka niezaradna, jak i ty, a Wieszczka tak mówiła, chcąc się pochwalić swoim rozumem i pracowitością. Ja ci powiadam, że sobie doskonale dam radę.

— Szkarłatko, lepiej daj pokój, zobaczysz, że to się źle skończy.

— A ja cię proszę, cicho bądź. Wiesz dobrze, że niczyich rad nie słucham i że sama wiem, co mam robić, zresztą nie zapominaj, że jesteś tutaj jako moja panna dworska, a po wyjeździe Wieszczki wszyscy, nawet margrabina Zieleni i hrabia Lilak, będą musieli mnie słuchać.

Szafirka nic nie odpowiedziała, widząc, że toby się na nic nie przydało. Bała się jednak bardzo, bo zdawało jej się, że Szkarłatka bierze się do nieswoich rzeczy i nie zna się wcale na tem, czego się podejmuje.

Wkrótce słońce już zaszło, pojazdy nadjechały znowu, i goście zaczęli się żegnać i rozjeżdżać, zaszły też białe gołębie i Wieszczka Bzu, przedstawivszy swoim poddanym ks. Szkarłatkę, jako swoją zastępczynię, której zostawia całkowitą swoją władzę, wsiadła do powozu, i gołąbki uniosły ją wysoko, wysoko, aż pod obłoki.

II.

Rządy Szkarłatki.

Szkarłatka spała na kwiecistym posłaniu, kiedy zbudziło ją jakby stukanie młotów; otworzyła oczy: w głębi niebieskiego namiotu, który jej służył za sypialnię, stało sześć panien dworskich, oczekując na rozkazy.

— Co tam tak stuka? — spytała.

— Dziecioty, dostojna pani — odpowiedziała Skabiosa w blade-liliowej sukni.

Szkarłatka przymknęła oczy, gdy jednak stukanie powtórzyło się znowu, zerwała się zaniepokojona.

— Długo one tak będą hałasować?

— One wyszukują sobie pożywienia i wydobywają robaczki ze środka drzew, łaskawa pani — objaśniła różowa Macierzanka.

— Doprawdy, to nowa myśl, żeby robiły dziury, psuły drzewa i hałasowały od wschodu słońca. Żadne inne ptaki tego nie robią; rozkazuję, aby natychmiast zaprzestały, a jeśli nie posłuchają, skazuję je na wygnanie z mojego państwa.

Różowa Macierzanka skłoniła się z uszanowaniem i pospieszyła zanieść rozkaz Szkarłatki.

Stary dzięcioł pokiwał głową.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Wśród wielu mych zalet tę ci wyliczę,
Ze choć ciągniesz za ucho, to ja nie krzyczę.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Polna Różyczka.

N. j. s. z. l. c. h. t. n. . . j. s. z. k. m. . . ó.ń,
J. a. s. t. t. e. n. k. t. r. j. k. r. j. e.
W. s. z. s. t. k. e. . . n. n. . . i. s. m. s. i. e.
P. k. r. j. e. c. n. . . d. i. j. e. .

N. j. s. z. l. c. h. t. n. . . j. s. z. s. r. e. c.
J. a. s. t. t. e. , k. t. r. e. w. ł. ó. s. n. i. e.
D. a. s. i. e. r. o. z. c. z. j. s. k. a. l. c. z. ó. c. ,
N. a. z. s. a. m. z. d. r. ó. s. n. i. e. .

Zastąpić kropki samogłoskami.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Bronia M. dla Halki S.

Z następujących sylab: Ros—o—ja—a—lep—ne—krab—si—cot—wa—gro—ni—sąd—o—bel—łów—in—ed—sen—kap—i—i—li—dye—ward—sa—zer—ni—zi—um—li—lew, ułożyć 16 wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą imię i nazwisko bohatera, złożone spójnikiem z nazwą miejsca jego świetnego zwycięstwa. 1) Zwierzę z grom. skorupiaków. 2) Znakomity muzyk i kompozytor włoski. 3) Płyn kwaśny. 4) Zwierzę drapieżne. 5) Jedna z wysp Zundzkich. 6) Miasto w Syrii. 7) Przyłodek w Afryce. 8) Przestrzeń drzew owocowych. 9) Metal bardzo rozpowszechniony. 10) Muzyk i kompozytor włoski. 11) Kraje południowej Azji. 12) Imię męskie. 13) Stan spoczynku. 14) Miasto na wyspie Cerigo. 15) Dopływ Rodanu. 16) Miasto w Rosyi nad brzegami Dońca.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Zagadki: Słońce.

Łamigłówniki w trójkącie:

B o m b a j
O r k a n
M a a s
B a r
A h
J

Skrzynka do listów.

Zwracamy uwagę wszystkich czytelników, że poczta jedynie tylko druki pod opaską przyjmuje, więc wszelkie listy i kartki, przysyłane w ten sposób do Wieczorów, narażają Redakcję na podwójną opłatę jakby za listy nie frankowane.

P. Władysławowi B. Ponieważ Redakcja opłacać musi pocztę kwartalnie, zatem kwartalną też opłatę uwzględniać może. Rs. 2 odebraliśmy, brakuje jeszcze do prenumeraty rocznej rs. 1.

Życzenie *Ukrainki* spełniliśmy.

Kajet z obrazkami dla biednych dzieci i gałganki dla paralytyków przysłane od *Pliszki*, *Marszałka* i *Isi* oddaliśmy stosownie do przeznaczenia. Za pamięć dziękujemy.

Cieszy nas, że *Szary Kot* z *Dolec* korzysta z pięknej pogody i ciepła, wielka to przyjemność, a dzieci z Warszawy i okolicy dotychczas w tym roku nie miały jej prawie wcale z powodu ciągłego zimna i deszczu. Brakujący numer pisma wysłany.

List *Płaczącej Brzozy* odebraliśmy — prosimy nadal nie zapominać o nas; szaradę i łamigłównikę przejrzymy.

Postanowienie *Jodełki* bardzo pochwalamy odkładania co tydzień parę groszy na pomnik Mickiewicza, bo dla czegożby i dzieci nie miały przyczynić się do okazania wdzięczności wielkiemu poecie? Wkrótce zawiadomimy czytelników naszych, gdzie swe ofiary będą mogli składać.

Łamigłówniki *Jakóba Z.* i *Ryszarda Lwie Serce* odłożyliśmy do przejrzenia; o ile będzie to możliwym, zostaną wydrukowane. Rozwiązania łamigłówników dobre.

Przesyłkę *Stasi*, *Franka* i *Maryanka K.* otrzymaliśmy; również staranną próbę kaligrafii *Stasi*.

Lubo Redakcja nie drukuje prac młodych czytelników, z przyjemnością je odbiera i przegląda, jako dowody zamiłowania ich w umysłowych zajęciach. Niechże więc i *Różyczka polna* nie lęka się przesłać nam to, co napisała.

Nadesłane łamigłówniki i arytmografy przez *Bolesława z S.* przejrzymy i wybierzemy najodpowiedniejsze. Szkoda tylko, że przy widocznej staranności w ułożeniu, wszystkie są tylko na jeden temat.

Dobre rozwiązania łamigłówników i szarad nadesłali: *Cesia S.*, *Gustaw i Wacław W.*, *Rafael* „czytelnik *Wieczorów*”, *Felicja*, *T. N. Roman J. Z.* i *mała Blondynka K.*

Tygrys zębaty również dobrze rozwiązał łamigłównikę, lecz zapomniał podać koniecznego rozwiązania do łamigłówniki własnego układu.

Zapytujesz mię *Syreno* jak mi twój pseudonym się spodobał? Jest on bardzo wyszukany, wolałabym prostszy jak np. nazwę rośliny, drzewa lub nazwę którego z moich skrzydlatych towarzyszy. Czemuż to jednak, będąc już całe 4 lata czytelniczką *Wieczorów* dopiero teraz się odzywasz — alboż to ze mnie ptak jaki złośliwy, wzbudzający ogólny postrach? Pisz też do mnie, proszę, zawsze bez ceremonii i bez jakichkolwiek tytułów. Rozwiązanie łamigłówniki dobre.

W nadziei, że *Sowa* z lasu *Tęczyńskiego* nie będzie czekała aż się w niej szczególny do napisania listu objawi talent, przesyłam jej życzliwe pozdrowienia.

Ucieszyłam się szczerze, że *Lilijka biała* przypomniała sobie o mnie, a jeszcze więcej rada jestem, że zamyśla poważnie zabrać się do botaniki, która jest nauką wielce miłą i pożyteczną. Wskazówki o suszeniu roślin i zielników Redakcja wkrótce czytelnikom swym poda. Jeżeli przeglądasz „skrzynkę do listów”, to wiesz, iż jestem sobie cichym, skromnym ptaszkiem wielce przyjaznym uczącej się młodzieży, oto wszystko co o sobie powiedzieć mogę.

Polną Różyczkę z nad *Wisłoki* witam przyjaźnie, jako bardzo miły dla mnie kwiatek. Dlaczego nie przysłałaś dawniej swych łamigłówników? Tę, którą odebrałam, oddałam Redakcyi, bo wybór rzeczy jest dobry, tylko szkoda, że w zastępowaniu liter kropkami nie zachowałaś pewnej przyjętej formy.

Jaskółka.